

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.

[34]



KOBZIARZ (str. 530).

K O B Z I A R Z.

Graj kobziarzu! masz trzy grosze,
 Graj wesoło, bardzo proszę!
 Chciałby kobziarz grać wesoło
 Lecz mu tęskno w duszy,
 Więc tęsknota jęczy w koło
 Gdy on kobzą ruszy.

Bo w dalekim urodzony
 Jest ten kobziarz kraju,
 Do swój niwy w swoje strony
 Tęskni jak do rajy.

Dziatwa woła natarczywie
 O wesołe granie,
 Kobziarz marzy o swój niwie
 Gra jak na płakanie.

Więc rozbiegli się słuchacze
 Graniem tem znudzeni,
 Kobziarz ciągle pieśnią płacze
 Wsparty o drzwi sieni.

Aż się graniem zmógł ponurém
 Ręce mu opadły
 I osunął się pod murem
 Tęsknotą wybladły.

Ktoś mu kazał odejść w stronę
 Lecz kobziarz był zimny;
 Pękło serce roztęsknione
 Do swój chaty dymnej.

Kukułka z nad Bzury.

MISYONARZE NA DWORZE SZACHA ABBASA.

Za panowania szacha Abbasa w Persyi w 1609 roku przybyli do Ispahanu, głównego tamecznego miasta, trzej Karmelici, Szymon, Jan Tadeusz i Wincenty, w celu oddawania duchownej pomocy współwyznawcom, których losy aż do Persyi zagnały i po niej rozproszyły. Byli to pierwsi stali misyonarze w owych stronach. Pierwszy z nich był Włoch, dwaj zaś drudzy Hiszpanie. Wysyłał ich papież Paweł V, a nasz król Zygmunt III, pod którego udając się opiekę, do Krakowa wstępowali, zaopatrzył ich w listy polecające nader ważne dla nich, gdyż Polska miała wtedy wielką powagę w świecie, a szczególnie dla Persyi, jako pogromicielka główna i jedyna prawie, potężnej Turcyi. Powaga ta i znaczenie daleko większe były, niż to dziś wyobrazić sobie możemy. Pierwszy wstęp na dwór perski trochę był jednak utrudniony ze względu etykiety dworskiej, bardzo błachych, ale

dotyczących pychy wschodnich monarchów. Wkrótce przecież zawiązały się prawie przyjacielskie stosunki między ubogimi misyonarzami i tronem dumnego nad dumnymi władzcy. Szach Abbas w tymże czasie prowadził wojnę przeciw straszliwej dlań Turcyi, Persowie walczyli pod wodzą baszy Cyalala, a O. Tadeusz zaraz wyprosił sobie stanowisko kapelana, dla żołnierzy chrześcijańskich znajdujących się w wojsku perskiem, w większej daleko liczbie, niżby się to nam dzisiaj zdawać mogło. Oprócz przeróżnych innych okoliczności, które różnych narodowości chrześcijan do Persyi zagnały, już sami Polacy stanowili tam pokaźną liczbę, bo młodzi i w ogóle niewolnicy polscy chwytni przez Tatarów i Turków, uciekając na wszystkie strony z niewoli, trafiali nieraz do pobliskiej Persyi i z nią potem przeciw naturalnym swym wrogom Turkom walczyli. Musiał się O. Jan Tadeusz pełniący obowiązki kapelana w wojnie owej odznaczyć nie lada, kiedy szach perski otaczał go przyjaźnią jaką zdarzało się rzadko pozyskiwać chrześcijanom. Gdy pobożny kapłan zapadł na zdrowiu z trudów poniesionych podczas wojny, Abbas posyłał mu potrawy ze swego stołu, oddał go w opiekę swego własnego lekarza pod surową odpowiedzialnością, a wręcz sam osobiście odwiedzać go przychodził. A trzeba wiedzieć, że wszelkie takie i tym podobne objawy monarszej życzliwości, daleko większe miały i mają na Wschodzie znaczenie, niż u nas. Następnie w dowód coraz większej swój łaski, czy to ze względu na opiekę polską czy też dla osobistych względów, darował Abbas zakonnikom chrześcijańskim dwa domy w Ispahanie, wraz z odpowiednim kawałem gruntu i znaczną sumą pieniędzy na zagospodarowanie. Z czasem przyszło do stosunków prawdziwie przyjaznych pomiędzy tronem perskim i chrześcijańską misją, która dopiero na tym królewskim życzliwym podarku ugruntowała stale byt swój w Persyi. Ojcowie ze swój strony rozumni i roztropni, szczerze pobożni, prostoduszni i ślepo posłuszni ustawom swoim, nie narzucali wcale Persom religii chrześcijańskiej, nie namawiali ich do jej przyjęcia, lecz dawali im przykład świątobliwego chrześcijańskiego życia pod każdym względem, jednali sobie ich zaufanie i przyjaźń, dobroczynnością i uczynnością, prawdziwie chrześcijańską.

Około r. 1612 wyprawił szach Abbas wielkie poselstwo do Zygmunta III pod przywództwem O. Jana Tadeusza, co dostatecznie dowodzi dobrych króla perskiego z misją chrześcijańską stosunków. Było to właśnie w czasach zaburzeń w Moskwie, gdzie w r. 1610 okrzyknięto carem królewicza polskiego Władysława; przeto, świeżo

znów obrany car Michał Fiedorowicz, protoplasta domu Romanowów, rozkazał zatrzymać poselstwo perskie wysłane do Polski, zaledwo stanęło w Astrachanie. Wypuszczono O. Jana dopiero na gorące wstawienie się szacha perskiego, który już podobno miał na myśli wyprawę na Turków, ze współudziałem Polski, pragnącej tegoż samego. Polityka dwóch państw odległych od siebie, bo przegrodzonych morzem i całą Turcyą zdobywczą, schodziła się w jednym i tymże samym celu zmożenia wspólnego nieprzyjaciela. Za wstąpieniem na tron polski Władysława IV, Polska zagrożona na raz i od Moskwy i od Turcyi, zcieśniła znowu stosunki swe z Persyą przeciw Turcyi działając. Ale w Persyi zmieniły się okoliczności, a zwłaszcza zmienił się charakter jój władców. Na tronie Abbasa i jego następców, oświeconych, ludzkich i przychylnych jeśli nie misyom, to przynajmniej misyonarzom samym, zasiadł wnuk Abbasa szach Sefi, pyszny, okrutny, krwiożerczy do potworności, ale zawsze zarówno jak dziady jego nienawidzący groźnej dla niego Turcyi. W celu wspólnego działania przeciw Turcyi z tym szachem Sefi, wysłał Władysław IV poselstwo do Persyi r. 1636 a chodziło wtedy o wspólne działanie z całą ligą europejską. Wszystkie takie ligi przeciw Turcyi, zazwyczaj nawet kiedy powstawały nie za sprawą Polski, przeciw zawsze na nią się tylko krupily, i z tą nie stało się nic innego. Ale przy tej okoliczności, poselstwo polskie tak gorące miało rozkazy, co do zaopiekowania się katolickimi misyonarzami w Persyi i starania jego były tak skuteczne, że istnieje dotąd list pełen dziękczynień misyonarskich dla Polski. Niezadługo też odbył się w Ispahanie obrzęd uroczysty, który acz zapomniany dzisiaj, przecież zaszczyt przynosi i zawsze będzie przynosił Polsce, bo na nim publicznym uroczystym aktem oddano pod opiekę Polski katolików w Ispahanie, jako w opiekę państwa najgorliwszego w sprawie Kościoła katolickiego. Sprawiwszy to poselstwo, poseł Starenberg z okazałym polskim orszakiem wracał już do kraju, gdy na granicy polskiej, nad jeziorem Derbent, Lesgowie, plemie tamtejsze, powadziwszy się z ludźmi z orszaku, napadli i wycieli co do jednego całe poselstwo. Za tę zniewagę Polski, szach perski ukarał ciężko plemie krajowców owych, a kilku naczelników bójkki, okuwszy w kajdany, wysłał do Polski z nowem swém poselstwem, aby byli ukarani wedle woli króla polskiego. Przytém wszystkim, wymieniały się między Polską i Persyą, listy dotąd istniejące, w których Władysław IV poleca szachowi misyę OO. Karmelitów, a Polska uważaną jest ciągle jako opiekunka chrześcijaństwa na Wschodzie. Na skutek to wpły-

wów króla Władysława szach Sefi potwierdził uroczystie znów wszelkie dawne przywileje misyjne w Persyi, co było rzeczą bardzo ważną, bo wszelkie przywileje tamtejsze obowiązują tylko za życia władcy który je nadał. Drugą misyą katolicką dla Jezuitów w Persyi, założyła w tychże czasach królowa polska Marya Ludwika, złożysz na jój utrzymanie dużą sumę w bankach paryzkich. Pierwszym przełożonym nowej misyi Jezuitów francuzkich, zawsze pod opieką Polski, był O. Franciszek Rigordi. Zaburzenia w Polsce po śmierci Władysława IV, odwróciły chwilowo jój uwagę i troskliwość, od wiernej dotąd opieki nad chrześcijaństwem w Persyi. Jednakże O. Błażej jadąc z Włoch do Persyi, umyślnie przybył do króla polskiego Jana Kazimierza, prosząc go wedle dawnych tradycyi, o listy rekomendacyjne do szacha perskiego. Było to roku 1660, w chwili znanych układów w Oliwie o pokój. Roku 1666 wśród ciężkich niepokojów wewnątrz i zewnątrz kraju, wysłała Polska nowe poselstwo do Persyi, polecając w listach misyę katolickie szachowi Sulejmanowi. Poselstwo to miało znowu za cel wciągnąć Persyę do ligi przeciw Turcyi. Ale szach Sulejman nie dorastał do miary pradziada swego Abbasa Wielkiego; był to nieszczęsny i znikczemniony niewolnik, własnych swych najnikczemniejszych niewolników, nie mógł więc podnieść się nawet do zrozumienia politycznych widoków i celów, w jakich przemawiano do niego. Pod owe czasy też przysłała na Polskę ciężka bardzo chwila: wzięcie Kamieńca podolskiego przez Turków pod Mahometem IV. Dopiero Jan III odłożywszy swą koronację na potem, zbił tymczasem Turków pod Chocimem, a hufce polskie osłabłe chwilowo pod jego dowództwem stały się na nowo dzielne i jedynem przedmurzem chrześcijaństwa. Król Jan krótkowidzący w polityce, ale prawy i zacny jeszcze rycerz chrześcijański, przemógł i złamał ostatecznie i stanowczo polskim orężem pogaństwo, zagrażające od wieków chrześcijaństwu. Za króla Jana też odnowiły się stosunki Polski z Persyą, gdzie króla polskiego zwano *el-ghazi* to jest *bohater boży*. Z owych to czasów, jest podanie, że mały synek szacha Sulejmana perskiego, wszedł raz zwiedzić dom misyi jezuickiej w Dżulfie. Przełożony Polak przyjął uprzejmie książętko perskie. Malec Pers, miłośnik sztuk pięknych, wprost przeciwnie jak to u Turków bywa, zachwyił się tam obrazem przedstawiającym wspaniałego rycerza, wiodącego dzielne hufce przeciw Turkom.

— Kto to jest? — krzyknął ucieszony.

— To jest el-ghazi Jan III król polski — od-

rzekł przełożony, a Pers maleńki miał zawołać, rączki do nieba składając:

— Oby mię Bóg natchnął takim mężtwem przeciw Turkom, jak tego bohatera!

Przełożony darował tedy ów obraz małemu ksiąźciu, a ten kazawszy go wspaniale oprawić, modlił się przed nim podobno w swojej komnacie, a kazawszy zefi zdjąć kopje rozdarowywał je pomiędzy swych przedniejszych przyjaciół. Staął też trzeci dom misyjny Jezuitów polskich w Gandawie, w którym mieszkał tak zwany rezydent polski. Po śmierci Jana III, Polska słabła i wpływy jej wszelkie słabły z czasem, a jednak opieka jej nad chrześcijanami w Persyi trwała długo jeszcze. Z czasem wszakże mimo niektórych dzielnych osobistości misyonarskich jak X. Krusiński, X. Zapolski i inni, upadła i ona. I sam też Kościół katolicki w Persyi upadł zupełnie. Wśród wojen, rzezi i rabunków, półtorawiekowa praca poprzednich misyonarzy znikła. Dopiero Pius IX wywołał znów życie na tym obumarłym dla chrześcijanizmu na pozór gruncie.

Z ŻYCIA PENSYONAREK,

OPOWIADANIE W LISTACH.

LIST IV.

Przecież się pogodziłyśmy z Łazowską! aż mi lżej na duszy, chociaż mam znów inny kłopot, jakby się już żadnym sposobem bez kłopotu na świecie obejść nie mogło, a zdawało mi się że będę już zupełnie szczęśliwa jak się z Łazowską pogodzę. Ale muszę wam wszystko od początku opowiedzieć żebyście zrozumiały. Ostatni to już list piszę do was przed wakacyami, a jeżeli go Wieczory prędko nie pomieszczą, to bardzo być może że ja wprzód do was przybędę niż mój list. Otóż wracając do moich przeprosin z Łazowską, było to tak. Pedantka Kolska tak mię znudziła, a nawet taki żal do niej czułam za zimne przyjmowanie moich serdecznych zwierzeń, że aż wyraziłam się kiedyś, iż jeżeli takie życie dłużej potrwa, to ja chyba czarnej melancholii dostanę. Oczywiście rozniosło się to moje wyrażenie po wszystkich klasach, jak gdyby je heroldowie przy odgłosie trąb wygłosili. Otoż zaraz nazajutrz zdarzyło się, że w kuchni jakiś tłuszcz się na blachę kuchenną rozlał i swąd nieznośny dostał się aż do jadalni, gdzieśmy już do stołu usiadły, zaś Łazowska jakimś dziwnym przypadkiem spóźniła się chwilę; wchodzi ona tedy ostatnia gdy już wszyscy byli na miejscach i przechodząc tuż koło mnie która przy drzwiach ku-

chennych siedzę, zatyka ona sobie nos obiema rękami mówiąc na cały głos: — „Ach! jakież tu zapach czarnej melancholji”!... — Nie potrafię wam opisać jaki straszny śmiech wybuchnął na ten niemądry dowcip w całej ogromnej sali, jakby było z czego i o co, łyżki powypadały z brzękiem z rąk i okna zadrżały. Ale z pannami na pensyi to tak. Łada dzieciństwo może największego hałasu narobić, dość aby jedna parsknęła śmiechem, a już wszystkie hałaśliwie będą ją naśladować, choćby nie wiedziały po co, zupełnie jak owce u nas na wsi, co to gotowe wszystkie pobiedz za pierwszą, ani wiedząc gdzie. Może się zanadto zjadliwie wyrażam, ale powiadam wam że byłam taka zła w owej chwili że aż drżałam. Nie wiedziałam co zrobić z sobą, kto wie nawet czybym się nie była rozplakała wkońcu z żalu do takich koleżanek, a tego już tylko brakło aby się ze mnie wyśmiewano i to na długo; może znów zostałabym przezwaną *melancholiją*, tak jak przez jakiś czas literatką mię nazywano. Szczęściem ta najpoczuwsza panna Luiza wybawiła mię z nieszczęścia, bo przechodząc koło mnie szepnęła mi, tak, że w ogólnym śmiechu nikt tego nie zauważył:

— A śmieję się z wszystkiemi, żeby się z ciebie nie śmiano! — zrozumiałam od razu i zaczęłam śmiać się jak mogłam najgłośniej, a że śmiech jak i płacz jest zaraźliwy, więc nawet doprawdy raz się zmusiwszy, już potem śmiałam się szczerze, bo przyznać trzeba że ta Łazowska jest dowcipna, choć Kolska powiada że taki pensyonarski dowcip nie wart jest ani szczypty tabaki, to jest najmniej wartiej rzeczy na świecie. Ale koniec końców nasmiawszy się razem ze mną, dano już mi pokój i nie śmiano się ze mnie. Nazajutrz wypadła galówka, co jest najlepsza rzecz ze wszystkich jakie na pensyi istnieją, poszłyśmy zatem na majówkę rano do kościoła św. Barbary. Wyszedłszy już z kościoła który jest otoczony bardzo starym cmentarzem, jakoś w pierwszej chwili Łazowska chwytła mię nagle za szyję i uroczystym głosem prawi:

— Tu na tém miejscu, które przypomina że prochem jesteśmy i w proch się mamy obrócić, przebaczam ci niewierna przyjaciółko winy twoje, widząc ile cierpi twe serce z powodu zasłużonego gniewu mego! — i pocałowała mię Łazowska. Panny już już miały wybuchnąć śmiechem, choć Kolska przy mnie stojąca skrzywiła się okropnie jakby co cierpkiego zjadła, a wtém rzecze pani Janicka surowo: — Panno Łazowska! nie wszędzie i nie ze wszystkiego żartować można! — stało się jak makiem zasiał i poszłyśmy dalej spokojnie. Nigdy nie zgadnę jakim cudem pani Janicka często w najpotrzebniejszej chwili jakby z ziemi nagle wyrasta. Ta-

kim sposobem stały się przeprosiny z Łazowską. Zaraz za powrotém napadła ona mię w kącie naszej klasy i paplała z godzinę po swojemu o Pawle i o Gawle, jakby nic nigdy pomiędzy nami niedobrego nie zaszło. Naśmiałam się, jak się nie śmiałam już dawno i zaraz mi się lżej na duszy zrobiło. Ale potém oczywiście trzeba było się okrutnie spieszyć z niemieckiem tłumaczeniem, żeby czas stracony nagrodzić; otóż po południu na niemieckim, podaję ja zeszyt pannie Luizie, a ona tylko okiem nań rzuciwszy powiada: — Masz tobie, jakiś czas było lepiej, a teraz znów błąd na błędzie: czy nie pogodziła się czasem Skalska z Łazowską?... — zaśmiano się znowu wołając że panna Luiza zgadła, a ja nie wiem czy ona zgadła, czy wiedziała, ale to prawda że i dawniej wicznie ona moje omyłki przypisywała gadaniu z Łazowską, bo się mówiło najwięcej w południe kiedy właśnie trzeba było przygotowywać się na niemiecki który jest po południu. Nazajutrz więc umyślnie na południe skoczyłam do naszej sypialni, usiadłam naprzeciw Kolskiej którą tam w każdej wolnej chwili można zastać nad książkami, usiadłam i piszę na gwałt, żeby popołudniowe lekcye najprzód odrobić, a dopiero na resztę czasu ile go zbędzie, zejść do klas na dół gdzie Łazowska czeka.

— Skalska! co ty tak szalenie prędko piszesz? — rzecze nagle Kolska — czy podobna pisać dobrze przy takim gwałtowném pisaniu? — Ta uważa Kolskiej tak mię jakoś zirytowała, ponieważ oderwała mi myśli od mego przedmiotu, że o mało nie powiedziałam jej że nie jest moją nauczycielką, aby miała tracić swój drogi czas na strofowanie mię. Wstrzymałam się przecież szczęśliwie przez grzeczność, pomyślawszy, że trzeba tę pedanterję Kolskiej wybaczyć, bo ją tak wszyscy, pani Janicka i nauczycielki psują, uważając jakby nie za uczennicę, że ona sama mimo wiedzy może się czasem zapomnieć i pozwalać sobie względem koleżanek więcej niż wypada. Tak myśląc i czując sama że nie mogę dobrze pisać w takim usposobieniu, piszę ja przecież ciągle owego południa, gdy wtém otwartém oknem wpada coś prosto na stół pomiędzy nas, wywracając kałamarz któren Kolska ledwo pochwyć zdołała, tak że się tylko trochę atramentu wylało, ratujemy tedy stół i zeszyty i książki od atramentu, a Kolska spojrzawszy przypadkiem na to co było przyczyną wypadku, bierze to w rękę, patrzymy co to, a to kawał zgniecionego papieru, chciałyśmy cisnąć, a wtém daje się słyszeć krzyk Łazowskiej z podwórza:

— A cóż! posłałam ci list! odpowiesz ty mi dziś na niego, czy nie? czyś się tam już nauczyła na śmierć i niema cię wcale? — A więc to jest list Łazowskiej! — powiadam i czytam sławny ów list obrzydliwie

nabazgrany a zawierający te słowa: „Ponieważ się ciebie Skalska doczekać nie mogę, przeto sekretarz mój jejmość panna Kura, pisze do ciebie w mojem imieniu, donosząc, że jeżeli wolisz przestawać z pedantką jak ze mną, to kwita z przyjaźni i basta! Dokument niniejszy pieczęcią moją i podpisem własnorecznym stwierdzony posyła się przez obecnego tu zwykłego mego posłańca Kleksa”, — a w tém miejscu na papierze znajdował się ogromny kleks z atramentu. Jest to istotnie zwyczajny i przyjęty na naszej pensyi posłańiec, a podobno istotnie Łazowska pierwsza wprowadziła go do nas czyli zarekomendowała, jak sama powiada; zdaje mi się że ja nawet już wam o tym jej posłańcu wspominałam. Chocież tedy nic nowego się z listu tego nie dowiedziałam, rozśmiałam się przecież jak zawsze każdy kto ma z Łazowską do czynienia i poprosiwszy ją przez okno o chwilę cierpliwości, dokończyłam wypracowania i zbiegłam do niej co prędzej. Łazowska wyprawiła komedję, z której śmiała się cała klasa; najprzód mię złażała w szumnych wyrazach, które gdzieś chyba w książce jakiej na drwiny pisanęj musiała wyczytać, za nieuszanowanie i zaniedbywanie *świętymi przyjaźni*, to jest naszego zwykłego kąta pod piecem, a potém gniewając się niby, naśladowała z kolei wszystkie nauczycielki w chwili zniecierpliwienia, każdą tak doskonale, że na nasze śmiechy nareszcie i czwarta klasa do nas drzwi otworzyła i śmiać się musiała wraz z nami. A tymczasem dzwonek nie zadzwieczał wcale, tylko na raz zjawiała się pani Janicka z panną Luizą do przeglądu szufladek, jak zwykle od czasu do czasu. Na mnie wszystkie ognie uderzyły, bo ani razu dotąd nie zdarzyło się, żeby w mojej szufladce nie było poukładane tak porządnie jak być powinno u każdej porządnej uczennicy, ale teraz, te gniewy i przeprosiny, ten pośpiech w południe i list Łazowskiej i ratowanie książek od atramentu, tak mi głowę zapełniły, że zapomniałam zupełnie o wszystkiem na świecie. Po raz pierwszy więc odkąd jestem na pensyi skompromitowałam się, to jest niby sama z własnej winy wstyd na siebie ściągnęłam naprawdę. Że zaś nigdy złe samo jedno nie przychodzi, tylko sobie zaraz jakieś drugie złe bierze do towarzystwa, przeto, pokazało się że tegoż dnia, wszystkie popołudniowe lekcye, fatalnie, to jest najnieszczęśliwiej dla mnie wypadły. Widzę teraz że przyczyną tego nie był prosty wypadek, ani też nieszczęście coto mówią że po ludziach chodzi, ale moja własna wina, że nie umiałam dobrze wszystkiego odrobić. Te komedje te gniewy i przeprosiny z Łazowską, list, zbieranie atramentu, paplania i śmiechy które odwracają uwagę od obowiązków. Otóż wiecie co? zgłębiwszy wszystkie te rzeczy do gruntu nocy

następnój, gdy ze wstydu i ze zmartwienia spać ani raz nie mogłam, powiem wam i poradzę siostrzaném szczerém sercem, że gdy wy z kolei na pensyą się dostaniecie, to słowo wam daję, że najlepij uczynicie: *zachowując się z wszystkimi bez wyjątku koleżankami grzecznie, ale i z wszystkimi zdaleka.* Doprawdy ta Kolska musiała już dużo w życiu doświadczyć, bo chociaż nudna jest, to przecież co ona powie to prawda. Jeszcze ja wam w tym względzie nie jedno opowiem, czego się przecież do druku nie pisze aby nie kompromitować Łazowskiej, a wtedy zobaczycie że mam słuszość. Chociaż w każdym razie wolę że się już z nią pogodziłam. Ale gdyby można zachować się względem niej zdaleka... tobym bardzo pragnęła.

Do przyszłego listu po wakacyach.

ANUSIA.

HONOROWY STÓŁ KRZYŻACKI.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW.

przez M. . a.

(Dalszy ciąg).

— Precz! to jest dziecko moje! syn mój! mój, rodzony! precz! Kto śmie dziecko ojcu wydzierać! — z takim krzykiem napadł stary Hans na rycerza, który oczywiście nie pojmując nic z tego napadu, chwycił za nieodstępny straszny swój miecz, usiłując przybranego syna zasłonić własną osobą, gdy ten znów wszelkimi siłami i rozkrzyżowanymi rękami, usiłował obu ku sobie się rzucających rozdzielić, zaklinając ich na wszystkie świętości, aby porozumieć się chcieli spokojnie. Ale długo biedny młody Hans szamotał się wśród łez i prośb pomiędzy rozkochanymi w nim ojcami, nim ich uprosił o trochę pomiarkowania, co mu się dopiero wtedy udało gdy stary zachrypl od krzyku, a rycerz zaklęty na wspomnienie grzechu swego niedoszłego mężobójstwa, spuścił miecz i oczy, pełen pokory i skruchy... Wtedy młody Hans zaczął im przekładać, iż jemustarczy serca na kochanie ich obu razem; ale tem o mały znowu nie rozżarzył ledwo przycichłego gniewu, bo każdy z dwóch zacierzewionych ojców, chciał być sam jeden kochany i serce syna na wyłączną posiadać własność. Długa minęła jeszcze godzina na wzajemnych umawianiach się, groźbach, prośbach i układach, nim nareszcie o wschodzie słońca dwaj ojcowie uściskawszy jeszcze raz błagającego ich o zgodę syna, uściskali się także przecież wzajemnie i młody Hans odetchnął. Tegoż samego dnia o południu, po poprzednich dni

przeprowadzonych układach Wolfganga ze starszym dworu Gedyminowej małżonki, korzystając z nieobecności panującej księżnej, która za mężem podążyła, sprawił nareszcie rycerz poselstwo swoje poufne. Układy Wolfganga ze starszym dotyczyły dworskich obrzędowych zwyczajów i sposobu jakim poselstwo dopełnić miano, to jest tak zwanęj dziś *etykiety* dworskiej. Rzecz ta była nawet dość trudna, bo małżonka Gedyminowa proszona o pozwolenie doręczenia sobie przyjacielskiego podarku W. Mistrza krzyżackiego, ucieszyła się tak niezmiernie tym wielkim i upragnionym, choć nierzadko pod owe czasy rozsiewanym zaszczytem, że koniecznie żądała aby oddanie jej tego podarku odbyło się z jak największą uroczystością. Ucieszyła się ona nim dla tego jedynie, że spotykał zaszczyt taki koronowane głowy, więc pochlebił on wielce małżonce Gedymina, która dniem i nocą o czapce *) książęcej marzyła, a skrytym marzeniom i nadziejom, owa grzeczność W. Mistrza dawała nową nielada jaką otuchę. Ona jej niejako przepowiadała jej pragnień tajemnych ziszczenie, bo Wielki Mistrz mądrego zakonu, wiedział dobrze, przeczuwał niejako w którą stronę należało zwrócić swe starania, aby zaszkodzić sobie względy możnych tego świata, lub tych którzy możnymi zostać mieli... To też ucieszona Gedyminowa chciała się przed całym światem ucieszyć swą pochłubić i jak uajwiększą ważność tej uciechy swój nadać, a tymczasem Konrad von Richardsdorff wprost przeciwnie, życzył dopełnić swój misyi jak najciszej i w sposób jak najmniej znaczący a poufny. Z takich przeciwnych sobie żądań i interesów, wynikły wrzawliwe choć niezbyt długie umowy, pomiędzy bywalcem Wolfgangiem i starszym Gedyminowego dworu. Skończyło się na tem, że obie strony, to jest i rycerz i Gedyminowa ustąpili po trochu ze swych żądań, szepnięto bowiem Gedyminowej, że przedwczesne chlubenie się swą ważnością i odsłanianie swych nadziei, może być dla tych nadziei szkodliwe... Stało więc na tem, że doręczenie sławetnego podarku od potężnego zakonu, małżonce potężnego już wówczas Gedymina, odbyło się wspaniale, ale nie uroczysto. Dzień wyznaczony na tę wspaniałość był zaś ten, w którym o wschodzie słońca uściskali się dwaj zacierzewieni przeciw sobie ojcowie Hansa młodego. O południu więc w dniu tym, sześciu zbrojnych wojowników świetnie błyszczących od stóp do głów polerowaną stałą, ustawili się we dwa rzędy przed gościnnym domem Litwina na przedmieściu Kiernowa, nieśli oni na okrutnie wielkiem

*) *Czapka książęca* niezwykłym kształtem zrobiona, była tem dla książąt panujących, czem koroną dla królów.

i bogatem, jakoby wezłowiowi barwy błękitnej, duży, ciemny, błyszczący przedmiot, bardzo podobny do wielkiej szkatuły kwiecistemi strojnęj ozdoba-mi. Dalej szło także sześciu, pacholków w błękitnej barwie, a każdy wiódł dzielnego konia przybranego świetnie i należącego do jednego z sześciu poprzedzających wojowników. Przed wojownikami na przepysznym rosłym koniu i wraz z tym koniem w stal jakby zakuty, w pełnym uzbrojeniu rycerskim, jechał olbrzymi rycerz chrześcijański. Przepyszna jego zbroja równie jak i zbroja okrywająca rumaka, była tak świetnie błyszcząca, że ogromny jeździec promieniami słonecznymi oblany, zdawał się niby słońcem samem, jaśniejącem odbłaskiem prawdziwego słońca na niebie. Jak za jaśniejącem słońcem na niebie białe wzlatają chmury, tak za słońcem-rycerzem unosił się i w zwojach wspaniałych spływał od bark płaszcz ogromny biały, z krzyżem, znamięm krzyżaka na piersi. Ponad hełmem rycerza, niezbyt znacznie powiewała wyblakła na słotach, a nigdy w zły czy dobrej doli nie odstępująca go wstęga błękitnej barwy, przedmiot wiecznego podziwu Hansa młodego, któremu się zdawało że ta oznaka, nie zgadzała się ze znamiem krzyżaka, gdyż wiedział Hans że takie i tój podobne wstęgi rozdawały damy zwyciężkim rycerzom na turniejach. Taką oznaką zaszczycony rycerz, stawał się na całe życie, jak gdyby honorowym strażnikiem tój damy, wszędzie i zawsze dla niej, na jęj cześć, w jęj imieniu i pod jęj barwą wyrażoną w barwie owęj wstęgi, dokonywając świetnych czynów rycerskich. I otóż dla tego właśnie dziwiła Hansa ta wstęga na hełmie przybranego ojca-krzyżaka, gdyż wiedział że trudno jest służyć dwom panom. Ale tłómaczył sobie Hans i słusznie, że Richartsdorff nie był przecież krzyżakiem zupełnym. Przed wodzem orszaku, rycerski giermek Fritz, niósł tarczę straszliwie wielką, na której w błękitnem polu wryty był niemiecki herb panów na Richartsdorffie, a nad nim wyrazy: „Bóg mi nadzieją” jako godło. W takim orszaku, z okazałością panu na Richartsdorffie przystojną, w jego barwie i pod jego tarczą niejako, poniesiono z wielką powagą klawikord na Gedyminowy dworzec. Wedle woli rycerza nie było tam żadnych dlań przygotowań. Z wieżyczki nad bramą otrąbiono tylko niby zwyczajnych rycerskich gości. Sześciu potężnych kudłatych jak strachy potwornych niedźwiedzi, stało rzędem po obu stronach drzwi wchodowych, każdy wyprostowany na dwóch łapach i wsparty przedniemi łapami na strasznej palce, maczudze raczěj, uczynionęj z dębu nabijanego niby wrosłemi weń krzemieniami. Straż ta, zarówno dziko wyglądająca,

jak świadcząca o zamożności gospodarza, przyjęła gości, tłumionym, a strasznym mrukiem... Na to hasło ukazał się starszy, a po obrzędowych zapytaniach i odpowiedziach, Konrad von Richartsdorff zsiadłszy z rumaka, wprowadzony został w rozwarłe przed nim drzwi do głębi dworca; niosący wezłowie z klawikordem szli za nim. Całe wewnętrzne urządzenie dworca i przyjęcie, odpowiadało temu pierwszemu wstępowi, na który złożyły się: rycerski odgłos trąby, potworne niedźwiedzie i obrzędowe starszego pytania; pierwotna dzikość i przebojem już wdzierająca się ogląda, mieszały się izlewały, lub też sprzezoły tu z sobą na każdym kroku i w każdym zakęcie. W obszernej komnacie w której oknach o cudło znajdowały się szyby prawdziwe, siedziały na ławach bogatemi ponakrywanych kobiercami dwie niewiasty, a koło nich liczna kręciła się dziatwy gromadka: było tego dziesięcioro. Niewiasty obie strojem zdradzały rusińskie pochodzenie, były to żony poganina Gedymina; późniěj pojęta w małżeństwo księżniczka ruska Olga siedziała trochę w głębi komnaty usunięta, a na synów swych wybiegających ku rycerzowi zawołała przy wejściu tegoż, po imieniu:

— Kiejstucie przystap do mnie! Olgierdzie stój tutaj!

Druga niewiasta, żona pierwěj pojęta, a więc godniejsza, wedle owoczesnych pogańskich wyobrażeń, siedziała na ławie podwyższonej cokolwiek, na środku komnaty w której była gospodynią i gdzie zaprosiła z jęj komnat Olgę Gedyminową, aby była świadkiem jęj tryumfu i szczęścia. Była to Ewa Gedyminowa, do niej to odnosiły się wysokie względy W. Mistrza krzyżackiego, których Olga tak była ciekawą niezmiernie, że mimo serdecznęj zazdrości, przyjęła tryumfalne zaprosiny Ewy i po namyśle przybyła powiększyć jęj orszak, przy uroczystem przyjęciu rycerza, jakkolwiek w pierwszěj chwili, zarzekała się że nie uczyni tego. Kilkanaście dziewic i niewiast zajmowało głębi komnaty. Kilka z nich znajdowało się nawet tuż przy Gedyminowych małżonkach, a były to te, które małe dzieci na rękach trzymały. Wszystkie ciekawe były tak bardzo, że aż szyje powyciągały ku drzwiom przez które wkraczał rycerz. Gedyminowa Ewa, nieposiadając się z radości, ostatnia jednakże zwróciła oczy ku drzwiom, a to dla tego, że dotąd zwrócone je miała ku oknu, przez które można było widzieć lud gromadzący się naokoło orszaku krzyżaka, gdy tenże przebywał obszerny rynek, widzialny dokładnie z owego okna, bo dworzec stał na małym wzgórzu. A więc pomimo że umyślnie czyniono mniej ważnym zaszczyt który ją spotykał, przecież i tak

wspaniałość prywatnego orszaku rycerza, zwróciła ogólną całego Kiernowa uwagę!

— Ach! dlaczegoż jak na nieszczęście niema obecnie w Kiernowie ani W. Księcia Witenesa, ani Witenesowej pierwszej małżonki! ani nawet Gedymina!.. — westchnęła z głębokim żalem Ewa wpółgłośno, prawie zwracając się do Olgi. Olga chciała się w odpowiedzi uśmiechnąć niby, jak to dzieje się czasem, gdy ludzie w ten sposób zastępują grzecznie odpowiedź, którą wyrazić wyrazami grzecznymi nie czują się na siłach, ale nie mogła widać nawet uśmiechnąć się, tylko przeciw własnej woli skrzywiła się niemile. Tego też jeszcze było potrzeba Ewie do zupełnego zadowolenia, roześmiała się w głos, ale nagle przypomniawszy potrzebną przy tak ważnej okoliczności powagę, przybrała majestatyczną acz grzeczną bardzo powierzchowność i zamilkła, zwróciwszy się do Konrada Richardsdoffa. Rycerz stał nieruchomy, wyprostowany, ogromny, sztywny, obleczony od stóp do głowy w błyszczące żelazo; udrapowany z lekka w zwoje białego płaszcza, spadające mu z ramienia wspaniale; ciemna o wydatnych rysach twarz, ciemna o srebrnych niciach broda i wąs, lewa ręka sztywno a nieruchomie wsparta na wielkim mieczu, prawa nieruchoma i sztywna w dół spuszczone, dopełniały złudzenia; przysiągłbyś patrząc nań, że widzisz posąg rycerza a nie rycerza żywego, jeden z tych starożytnych sztywnych wprawdzie posągów, ale uderzających potęgą surowej siły i powagi, które nawet zabarwiano odpowiednio. Rycerz stał przed Ewą Gedyminową, a starszy dworu Gedyminowej wypowiadał jej cel przybycia gościa, w słowach sumiennie powtarzanych które tenże mu podyktował. Co gdy się stało, rycerz żelazny niemem poważnym jakby mechanicznym skinieniem głowy, potwierdził wyrazy starszego. Na co Ewa Gedyminowa próżno hamując podniecone swe uczucia, zwawo odrzekła za ledwo doczekawszy końca nudnego ceremoniału, o który przecież bardzo dbała, jako o podnoszący jej powagę:

— Bardzo miłe jest żonie Gedymina poselstwo wasze wielki rycerzu! Pismo szlachetnego Wielkiego Mistrza potężnego zakonu, będzie nam równie miłe jak podarunek, ponieważ od niego pochodzi! — Wtedy rycerz jakkolwiek nierozumiał języka Gedyminowej, przecież wiedząc z góry co mówi, skłonił znów głowę i położył na małym stole tuż przed nią stojącym, pismo owinięte w kawałek białej drogiej tkaniny. To uczyniwszy odwrócił się do połowy i spojrzął na giermka który stał za nim, tak samo nieruchomy i prosty, niby zdobniały wizerunek pana swego.

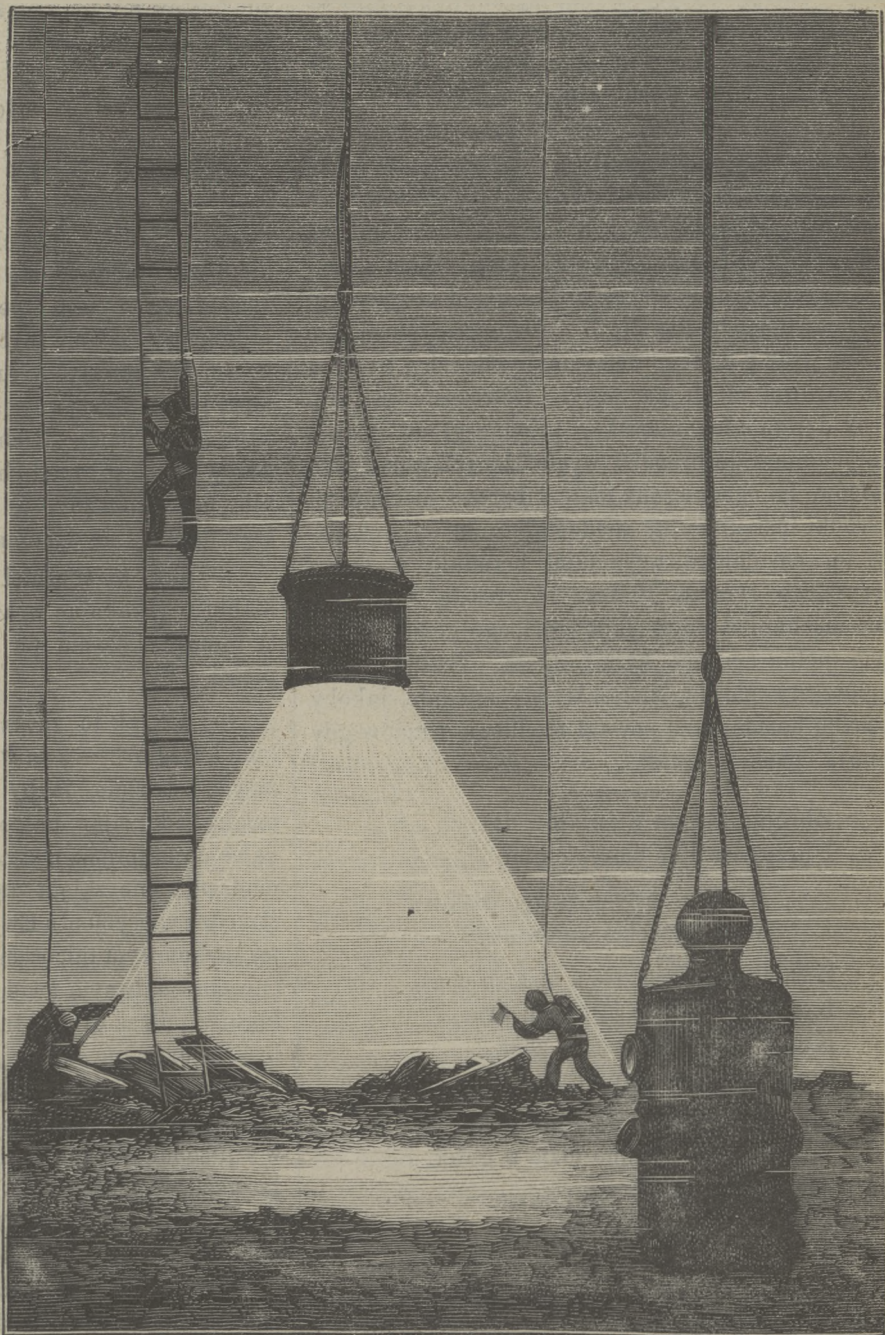
Na spojrzenie rycerza, giermek jakby tem spojrzeniem ożywiony, poruszył się i mierzonym krokiem drzwi doszedłszy, roztworzył je, a sześciu zbrojnych czekających w przyległej komnacie, bokiem i ostrożnie przeciskając się, wnieśli błyszczący klawikord. Ciekawość do najwyższego stopnia spotęgowana, podniosła z miejsc prawie wszystkie kobiety, niektóre dalej pod przeciwną ścianą siedzące, stanęły nawet na swych ławach. Jedna Olga Gedyminowa acz pochłaniając klawikord płonącymi oczyma, nie ruszyła się przecież z miejsca; co spostrzegłszy w czas jakoś, pozostała na swoim i Ewa Gedyminowa, która już już także powstać miała, a następnie aż rękoma za poręcz swego siedzenia chwyciwszy, ledwo zdołała powstrzymać się. W milczeniu tak głębokiem że słyhać było muchę przelatującą, z bijąciami mocno sercami, z wyciągnionemi przedsięszyjami, oczekiwano roztwierając oczy co dalej będzie... Rycerz powoli ciężkimi kroki z chrzęstem zbroicy przybliżył się do klawikordu i roztworzył go: okrzyk podziwu wstrząsnął komnatą. W kilku wyrazach opowiedział rycerz użytek z instrumentu tego, dodając że dokładny sposób jego użycia znajduje się w piśmie W. Mistrza. Na te słowa Ewa nie mogła już wytrzymać, dłużej, chwyciła pismo, rozwinęła i roztworzyła je, a rozpostarłszy duży papier, wytrząsać go zaczęła... napróżno! z pisma nie wypadł żaden dziwny a gotowy sposób użycia klawikordu, jak się Ewa spodziewała, gdyż było to tylko pismo, a na piśmie, niestety nieznała się podobno Ewa! Położyła je tedy napowrót pomiarkowawszy się wcześniej, mówiąc że wolnym czasem odczyta uważnie. Tymczasem rycerz skończywszy zawsze z wielką powagą, krótką opowieść o przeznaczenia i użyciu klawikordu, zapytał Ewy, zawsze przez starszego, czy życzy sobie aby jej to użycie czynnie okazaniem było? Na co gdy ochotnie przystała, skinął rycerz znów na giermka swego Fritza. Giermek Fritz, jak rycerskie wychowanie kazało, był niedawno jeszcze paziem pani Adelgundy żony wielkiego jednego rycerza. Jako paź musiał on często w ogromnym zamczysku umilać i skracać długie zimowe wieczory śpiewaniem przy lutni, przy potężnym ognisku, gdy pan zamku pojechał na wojnę, a szlachetna kasztelanka wraz z niewiastami służebnymi, smutne w samotności wiodła życie. Pan zamku troskliwy o małżonkę, właśnie tylko co tegoż samego roku przysłał jej również klawikord, do zabawy, a Fritz jak widać z natury muzyczny, zrozumiał sposób użycia instrumentu i wyuczył się go natychmiast od towarzyszącego klawikordowi kunsztmistrza. Rozumie się że była to

nauka sprowadzona do jaknajwiększej prostoty, ani podobna do dzisiejszej zawikłanej i trudnej, tak jak samo granie i sam klawikord mało były do dzisiejszych podobne; ale harmonja i melodia były prawdziwie w tej nauce i te

pojął od razu paż Fritz, ponieważ miał je obie już gotowe, wrodzone w głębi duszy. Paż stał się natychmiast sławnym z tej swojej umiejętności, jak kasztelan-ka i jej zamek z posiadania klawikordu. Że zaś W. Mistrz krzyżacki w najprzyjaźniejszych był stosunkach ze szlachetną kasztelan-ką, jak WW. Mistrze bywali zawsze ze wszystkimi szlachetnymi damami, aby przez nie mieć wpływy na ich mężów, przeto, przysławszy kasztelan-ke z wielką pompą w podarku prześlicznego do potowania sokoła, o niesłychanych przymiotach, prosił ją o pożyczanie mu muzycznego pazia, aby ten przy odwożeniu klawikordu w głąb Litwy, objaśnił tam praktycznie jego użytek. Dla tego zaś musiał tak W. Mistrz uczynić, że żaden kunsztmistrz klawikordowy, nie chciał choćby za największą opłatą, jechać w tak, dzikie niebezpieczne, a dalekie strony. Szlachetna kasztelan-ka najchętniej przychyliła się do prośby W. Mistrza; młody paż mało nie oszalał z uciechy, gdyż

przy sposobności tej postąpił na giermka w zaszczytnej hierarhii rycerskich stopni. Takim sposobem muzyczny paż znakomitą kasztelan-ki, z głąbin starego zamczyska, znalazł się bardzo prędko w Kiernowie, w obec małżonki Gedymina którą

miał wyuczyć muzyki. Na skinienie rycerza Konrada Richartsdorffa i gdy ten, zasłaniający go prawie dotąd potężną swą postacią, ustąpił na bok, Fritz niedawny pazik, znalazłszy się nagle w obec dam, on który wśród dam niedawno życie prze-



Obserwatorium podwodne (str. 539).

pędzał, przypominał sobie odrazu i niechęcy wszystkie zręczne ruchy, ukłony i cały wdzięczny układ właściwy *szlachetnym pacholećtom*, czyli paziom, jakiego po rycerskich zamkach od nich wymagano, a od jakiego Fritz giermek naju-

silniej się teraz odzwyczajał w służbie Richardsdorffa, starając się wszelkimi siłami ułożyć dokładnie na wzór obecnego pana, ideału swego, wielkiego rycerza chrześcijańskiego. Zapomniawszy tedy niechęć o godności giermka na chwilę, giętki jeszcze bo nie stężały w bojach i lekką dosyć zbroją okryty Fritz, zgrabnie postąpił do klawikordu, nie mając na czem usiąść zawiadomił kilka słowami starszego o tej potrzebie dla grających dam, a sam tymczasem zręcznie przykląkł na jedno kolano przed klawikordem, jak niezliczone razy przyklękał w służbie paziowskiej przed wysokich godności paniami, podniósł w górę fijołkowe łagodne oczy i dotknął zręcznymi bo przywykłymi do lutni palcami, znanych mu różnobarwnych klawiszy klawikordu, z pod których zabrzmiał hymn wspaniały!.. Osłupiałe niewieście grono wraz z dziećmi wstrzymało oddechy, wyęzając zarówno słuch jak oczy. Dźwięczny jak srebrny dzwon głos giermka, przyłączył się prawie natychmiast do brzmień wychodzących z pod jego palców, bo ograniczony jeszcze bardzo mechanizm i środki instrumentu, niedostatecznie wypowiadały to, co daleko wspaniałej brzmiało w duszy przyszłego rycerza Fritza. A zresztą nigdy żaden mechanizm nie zastąpi ludzkiego głosu, w którym pełna uczucia brzmi dusza. Szczęki oręża i chrzęsty zbroic, zmieszały się zgodnie, jakoby z pełną harmonijną powagą modlitwą tłumów gdy muzyk - poeta śpiewał:

Zbrojno idziem w światów dal
I przez bezdnie morskich fal,

Na niewiernych zastęp dziki,
My krzyżackie wojownicy!

Z zamków, z grodów, z niskich chat,
Kto w Chrystusie jest nam brat,
Kto w zbawienia wierzy znak,
Komu w piersi gore krzak

Mojżeszowej cnej miłości,
Niechaj zbrojno idzie w gości

Z nami! z nami w dziki świat,
Kto w Chrystusie wierny brat!

Tak śpiewał były paż Fritz, niedawny giermek, sługa i gorący wielbiciel rycerza Konrada Richatsdorffa. Zaciekawienie trzymało zrazu na uwięzi gromadkę ruchliwych niewiast i dzieci-słuchaczów. Wrażenie istniało niewątpliwie. Dwaj rodzeni bracia, średni z dziatwy, Olgierd i Kiejstut, wysunęli się nawet bezwiednie prawie z gromady od boku matki Olgi. Kiejstut przystąpił tuż do klawikordu i wpatrzony w fijołkowe oczy śpiewaka, poruszał ustami, chwytając całą dzie-

cięcą pierśią, dźwięki, a nawet i wyrazy jego pieśni, bo nianka jego niemka obznajmiła go z niemczyzną. Raz i drugi nawet mały Kiejstut podniósł w górę wskazujący palec prawej ręki i zwracając się w głąb komnaty szepnął:

— Cicho! cicho! sza! niewiasty!.. — Ale natęczenie ciekawości nie mogło trwać długo, w pół dzika ruchliwość przemogła wszelkie względy wkrótce i przy końcu drugiej strofy słuchaczki znalazły się już wszystkie stłoczone przy klawikordzie, nie wyjmując nawet Olgi, klaszcząc w dłonie i nucąc rytm mężki i energiczny pieśni, której słów nie rozumiejąc, czuły przecież rycerskiego ducha. Zapał i uciecha naiwna zrywając wszelkie tamy, objawiły się tak gwałtownie nareszcie, że zagłuszyły pieśń giermka, który przywykł do milczącego szlachetnych dam współczucia, wstał nagle, przerywając zgłuszoną pieśń, oburzony, dumny, prosty i sztywny jak skamieniały, istny sobowtór swego pana, Richatsdorffa, stojącego wciąż wśród niewiast nieruchomie na środku komnaty, niby posąg żelazny, u którego stóp tłum pospolitego ludu by się zgromadził.

— Jak to ślicznie! jak to ładnie! — wołały nianki wyskakując wraz z dziećmi wśród komnaty i nucąc skocznie na bojowniczy rytm umilkłej pieśni.

— Ale jak to ruszać trzeba ażeby to tak pięknie luczowało?! — z zakłopotaniem pytała Ewa ciekawie, ostrożnie, jakby rozżłoszczoną papugę lub psiaka uderzając palcem klawisz i umykając ten palec co najprędzej; struna zadźwiękła, część zgromadzenia nie zajęta tańcem o tyle aby nie spostrzedz experimentu Ewy, krzyknęła z podziwu nad jej znakomitym talentem. Spłoniona, ucieszona, zachęcona naiwnym uwielbieniem objawem, uderzyła klawisz po raz drugi, trzeci i dziesiąty, wywołując krótkie urywane dźwięki, trochę do szczeknięcia psa podobne. Zrazu niepewna sama siebie, prędko przyszyła do przekonania zupełnego o swjej doskonałości w sztuce muzycznej, ponieważ otrzymywała dźwięki za każdym uderzeniem. Ale snadź Ewa Gedymionowa nie była nierozumną, kiedy zarozumiała nie była, bo nacieszywszy się swą nowo zdobytą umiejętnością, sama i pierwsza oświadczyła, że o doskonałości swjej w muzycznej sztuce znowu wątpi, ponieważ gdy młody rycerz grał, było to daleko a daleko piękniej! Tańczące nianki, szepczące niewiasty, wszystko stanęło nieruchome i unikło nagle, milczeniem tem dając znać, że potwierdzają skromny o samęj sobie sąd pani.

— Trzeba się przyjrzeć jak to robi młody rycerz, — rzekła po namyśle Ewa, — niech nas nauczy swjej sztuki.

— Tak! tak! — chórem potwierdzono — Jakkolwiek pięknie gracie, przecież jeszcze piękniej grał młody rycerz; niech was nauczy swęj sztuki. A gdy tak chórem wołano, w gwarze, hałasie i tumulcie ogólnym, jedna z nianiek z dziewczętkiem maleńkiem na rękach, ciekawością nieposkromioną powodowana, ośmieliła się zbliżyć do klawikordu tak bardzo, że dziewczętko z jęj rąk wyciągając rączki i nóżki, ku błyszczącemu przedmiotowi podolało nareszcie gwałtownym rzutem stanąć na klawiaszach, obydwoma na raz różowemi stopkami; silnie potrącone struny ozwały się długim, przeciągłym, przeraźliwym dźwiękiem. Na jedno mgnienie oka towarzystwo zamilkło i skamieniało, a potem nagle wybuchło szalonej radości okrzykiem:

— Aldono! Aldono moja! pociecho! chlubo! — zakrzyknęła matka, Gedyminowa małżonka, biegnąc z rozwartemi ramionami do stojącej na klawiszach genialnej córy—Ty grasz tak samo jak młody rycerz!

— Tak samo! tak samo! — krzyczał chór niewieści uniesiony radośnym podziwem. A w tem maleńka Gedyminówna trzymana na klawiszach pod ramionka, przez nieprzytomną prawie z radości niankę, wyciągnęła rączki do rozkochanej matki i radośnie a dzielnie zatupała po klawiszach; na ten raz klawikord zadźwięczał wszystkimi swemi siły i zapał słuchaczek do najwyższego doszedł stopnia:

— Aldona Gedyminówna! Aldona gra lepij od młodego rycerza! niech żyje! Górą Gedyminówna Aldona! — Tak krzyczano długo, zapalczywie, dusząc prawie uściskami maleńką Gedyminównę, genialnie wytupującą piętami tymczasem wciąż, po jęczącym ostatnimi siły instrumencie. Gedyminównę, przyszłą (czego nikt się nie spodziewał wówczas) królowę polską, Kazimierzową małżonkę. Dawno wprzód i długo późnięj, nie było podobnej uciechy na Gedyminowym dworcu. A gdy szal radosny przeminał nareszcie jak wszystko z czasem przemija, spostrzeżono że nie było w komnacie gości krzyżackich. Ale nie wiele już zakłopotala się tem żwawa Ewa Gedyminowa, na starszego zdając resztujące zadoścuczynienie dworskim nudnym ceremoniałom.

(D. c. n.).

Obserwatoryum podwodne.

Jeżeliście czytali podwodną podróż Verna, wiecie, że skafander jest to dowcipny przyrząd, za pomocą którego nurek może przez czas dłuższy przebywać pod wodą, oddychając tam swobodnie,

bo ma zapas powietrza w swoim hełmie, hermetycznie zamkniętym i zabezpieczonym od przystępu wody.

W głębinach morskich jest wiele rzeczy ciekawych i ludzie zapuszczają się tam, nie tylko dla wydobywania koralu i pereł, ale dla oglądania różnych dziwów, których napotkać nie można na lądzie. W niektórych miejscach urządzono już w tym celu podwodne obserwatorye, zwykle oświetlają dno morskie elektrycznością, bo światło elektryczne pali się i bez powietrza i w wodzie nawet nie gaśnie.

Na rysunku naszym widzicie taką elektryczną lampę, a obok kilku ludzi w skafandrach. Na prawo umieszczone jest obserwatoryum, opatrzone szklanemi okienkami, człowiek może tam przebyć bez niebezpieczeństwa około trzech kwadransy.

O WŁASNEJ SILE.

Powieść
przez M. Kr.

(Dalszy ciąg).

— Jedz jedz, wszystkie zjedz; my nie głodni, a i tak matula wieczrę w domu przecież dadzą — powiedział jeden. Na wspomnienie matki, Władysław nie zapłakał, bo mu i leż już zabrakło, tylko zatrząsł się ze wzruszenia, jakby mu coś w piersiach zadrgało.

— Co ty? chory, czy co? co się trzęsiesz? — spytali chłopcy.

— Nie, tylko matka matka...

Władysław przestał jeść ale i mówić przez chwilę nie mógł, bo mu w myśli, od chwil kilku kartofłami i wodą zajętej, znowu tęp straszniej stanęło całe jego nieszczęście. Ojciec chory, matka w rozpacz, a potem już mu do głowy przyszło, że i ojciec i matka ze zmartwienia pomrą, a maleńka Ludka z głodu zginie, jeżeli na takich ludzi, jak ów diad trafi...

— Co matka? obiała ciebie? — spytał najmniejszy pastuszek.

— Muie nigdy nikt nie bił, tylko zabląkałem się... — mówił Władysław i opowiedział nareszcie przygody swoje. Gdy przyszło do dziada, najstarszy zawołał.

— Oho! ślepy Ignac! ani chybi, to jego sprawa.

— A patrzy na niego, co prawda — dodał średni. Najmłodszy słuchał z rozwartemi ustami opowiadania Władka. Gdy usłyszeli o nagrodzie za odprowadzenie go do najbliższej stacyi, dwaj starsi pastuchy zaczęli spoglądać na siebie wzajemnie, drapiąc się jeden za ucho, drugi w skroń.

Nie bardzo wiedzieli co to znaczy i długo Władys musiał im tłumaczyć, aż wreszcie jeden zawołał:

— Aha!... a on pewnikiem o *maszynie* mówi! tój, co jeździ bez koni i gada: pfu! pfu! I udawał sapanie lokomotywy dosyć dokładnie.

— A tak! tak właśnie, ja mówię o maszynie, co jeździ bez koni i sapie, jakby mówiła pfu! pfu! — pochwyił Władys — zaprowadźcie mnie tam, gdzie ona staje po drodze.

Ale pokazało się, że najstarszy, nigdy po za granicę swojej wioski nogą nie stąpił; inni jeździli nawet raz koleją, ale nie trafiliby przecież do owęj maszyny. Władysiowi zdawało się niepodobieństwem, aby drogi do stacyi mógł kto nie znać, zwłaszcza tuż przy nięj mieszkając, bo mu się koniecznie zdawało, że stacya musiała być niedaleko. Ani się domyślał, jak prędko i jak długo w przerażeniu najprzód za pociągiem biegł, a potem znowu stacyi szukając; a i od rana także przecież szedł ciągle. Przyszło mu tylko na myśl, że choć ci chłopcy nic nie wiedzą, to może kto inny, a nawet z pewnością kto bądź inny z ich wsi o stacyi wiedzieć będzie.

A wtém najstarszy chłopiec wstał z ziemi i biczem długim machnął, mówiąc:

— Zagadało się ot z tą biedą, a do dom czas.

A za nim też zaraz i dwaj młodszy chłopcy ruszać ku bydłu zaczęli, bydło też samo z siebie powoli, skubiąc trawę po drodze, postępowało prosto, prosto, jak co wieczora zapewne.

Za pierwszym pastuszków ruszeniem z miejsca, Władysiowi serce mocniej zabiło, a gdy oni, rozstąpiwszy się jeden na prawo, drugi na lewo, a trzeci w tyle wielkiego stada bydła, jęli biczami z niechcienia sobie machać, postępując za bydłem powoli, włosy na głowie chłopczynie ze strachu powstały, bo zdawało mu się, że chłopcy zapomnieli już o nim zupełnie. Tedy kulejąc pobiegł za nimi i prosić zaczął, czyby mu nie chcieli pozwolić iść z sobą tam, gdzie są domy i ludzie, gdzieby nie tak straszno było w nocy, jak w polu.

— A to się wie, że masz iść z nami; przecieżś nie zwierz, żebyś w polu nocował — odpowiedział najstarszy, a Władys mało mu za to na szyję nie skoczył. Zeszli na szeroką drogę, miałkim pyłem na pół stopy pokrytą i szli dalej, aż pokazały się chaty; stado i chłopcy przeszli kołowrot i Władys upadł na przyźbę najpierwszj z brzegu chaty, nadzwyczajnie zmordowany, ale uspokojony prawie tak, jak łódka słaba gdy w czasie burzy do bezpiecznej przystani dopłylnie. Pastuchy poszli dalej; jedna z krówek odłączyła się od stada i do drzwi chaty tēj pierwszj się zbliżywszy, zaręczała z tym akcentem, po którym każde wprawne gospodarskie ucho pozna, że krowa woła: „otwieraj”!

A wtém psiak niewielki, z obciętemi uszami i ogonem, z chaty wyskoczył i najeżywszy grzbiet na Władka ujadać zaczął, przyskakując i odskakując od niego. Pies był zły chociaż mały, ale Władek był zanadto nieszczęśliwy, żeby się miał lada czego lękać, więc ani się ruszył i to go ocaliło, bo gdyby był uciec próbował, albo choć przerażenie po sobie pokazał, pies byłby go z pewnością skaleczył.

— Łosia, Łochna, chodź krówka, chodź, a najadłaś się? a napiłaś się? a mleczko niesiesz, hę? — rzekła gospodyni, wychodząc z chaty, i klepiąc krowę po grzbiecie odmykała jēj drzwi obórki, tuż obok drzwi od chaty i pod jednym dachem umieszczone.

— Mu.. mu.. mu!.. — odpowiedziała krowa, trąc z całej siły swój policzek o ramię kobiety, jakby powiedzić miała:

— Dobry wieczór, moja pani, wszystko w porządku.

— No to dajże różki, to je przywiążę, daj, a wchódź — mówiła gospodyni, popychając krowę w otwartą obórkę.

— Mu... mu... mu!.. — powtórzyła krowa.

— Czekał Łochna, czekaj zaraz wezmę skopek, to cię wydoję — powiedziała gospodyni od obórki odchodząc; bo kobiety wiejskie rozmawiają z debytkiem, zupełnie jak z rodziną swoją.

— A ty Kusy czego tam szczekasz? — spytała, idąc do kołka w płocie po skopek.

— „Hau hau! jest tu ktoś” — odpowiedział jēj Kusy, zupełnie innym głosem niż dotąd szczekał.

— A któż tam? — pytała gospodyni zachodząc za węgł — a to z kąd się przywlokło?... — dodała, spostrzegłszy skurzonego na przyźbie nieruchomego prawie Władysia.

Tymczasem chłop wyszedł z chaty i zaczął dopytywać się Władysia, co za jeden był i z kąd przychodził, a gdy ten opowiedział w kilku wyrazach nieszczęście swoje, powiedział że trzeba odprowadzić włóczęgę do urzędu to jest do wójta. Ale że wójt mieszkał na drugiej wsi, nie można było oddać mu włóczęgi aż jutro. Tymczasem jedna i druga baba, jeden i drugi chłop przechodzący, przystanęli i co chwila większa ludzi gromadka otaczała chłopca skułonego na przyźbie pod ścianą chaty, jasnym letnim wieczorem. Powiadano, że może on jest chory, to go jutro stójka odprowadzi do szpitala do miasta. Powiadano, że może on jest jednym z owęj bandy złodziejów, co to dwór czy karczmę niedaleko z tamąd okradła, a która właśnie na przespīgi takich małych dzieciaków wysyła; to go w takim razie stójka odprowadzi jutro do więzienia. Powiadano, że on jest tym chłopakiem, który to dziada ślepego przesze-

go roku wodził, a potem na tego dziada podejrzenia były o podpalenie jakieś w mieście, więc tego włóczęgę jutro się do miasta na śledztwo zaprowadzi.

Tak sobie rozpowiadali ludzie na około włóczęgi; a włóczęga to słyszał i płakał.

Jednakże, to wszystko co ludzie mówili miało się stać dopiero jutro; a do jutra co? Opowiadanie Władzia powtarzali sobie wszyscy poprzekrecane najrozmaiciej. Nikt mu nie wierzył i nikt go dobrze nie rozumiał, bo on zaledwo raz opowiedziawszy swe nieszczęście, teraz już tylko płakał. Przyglądano mu się, przychylając do niego, kiwno głowami i coraz nowe czyniono spostrzeżenia, które wszakże nie rozwiązywały pytania: co z włóczęgą zrobić? A wtém nie wiedzieć zkąd westchnął jakiś niewieści głos:

— Biedne dziecko — i to westchnienie przewały losy owego dziecka. Już od chwili gdy pierwszy raz wyraz włóczęga o uszy Władka się obił, zaczął on płakać serdecznie, ale gdy o złodziejstwie, podpalaniu i więzieniu usłyszał, chłopiec zmartwiał obłąkanym wzrokiem spoglądając po ludziach. W głowie mu się mącić zaczęło. Na pytania głupowato już odpowiadał. Dopiero na wyrazy: „Biedne dziecko” rozum zabłysnął mu w oczach na nowo, i Władys zerwał się z przyzby, chcąc biedz do tego kto pierwsze litościwe słowa wyrzekł w tym tłumie, a wówczas odezwały się różne pojedyncze głosy, po większej części kobiece:

— Takie to małe. Może i zbląkane.

— Może i naprawdę dziad obdarł. Albo ty to ślepy Ignac nie zrobił.

— Może i uczciwych ludzi dziecko.—A wtém ktoś dopiero teraz z głębi wsi nadchodzący do gromady się zbliżył, ludzi rozsunał, wziął Władka na ręce i wracając zkąd przyszedł, w cieniach nocy z nim zniknął. Władys podniósł oczy łzami zalane na niespodzianego opiekuna, był to najstarszy z trzech znajomych mu pastuchów.

Pastuch zaniósł go do jednej z najuboższych chat; ale nie wszedł do chaty, tylko do maleńkiej kletki z desek, gałęzi i gliny, przyklepionej z boku do owej chaty. Kletka ta wyglądała z wierzchu niby duży stos śmiecia, obok drzwi miała okno z kilku kawałków szybek sklezione, ale czyste. Wchodząc przez drzwiczki, pastuch musiał się zgiąć we dwoje, a wszedłszy mógł się wyprostować pod niskim dachem lepianki. Jednakże w środku było tam o wiele lepiej niż z wierzchu, bo przedewszystkiem było świeżo wybielone. Ściany i dach starannie gliną wylepione a białe jak śnieg i podłoga z gliny ubitej, gęsto zasypiana tatarakiem, czyniły kącik ten podobnym do ślicznego, pachnącego namiotu, z białego płótna. Przy ścianie w głę-

bi, ale o parę stóp odległości od téj ściany, umocowano tam w glinianej podłodze kawałki desek, a w przegrodę, która ztąd między ścianą i deskami powstała, nakładzono świeżego sianka wonnego. To było łóżko pastusze i sofa jego i szeslong i kanapa i fotel. Na tém łóżku pastuch Władysia położył. Władys odetchnął — nigdy król żadne nie spoczywał wygodniej.

Gdy pastuch schyliwszy się nad leżącym Władysiem, jeszcze mu siana więcej pod głowę podkładał, Władys mu zarzucił obie ręce na szyję i uściśkał go z całej duszy. Pastuch ten był może daleko biedniejszy jeszcze od owego dziada, ale i on sam i jego ubranie i jego kapelusz, wszystko było czyste, aż się lśniło, więc nie wzbudzał żadnego wstretu w chłopczyku.

— Jak ty się nazywasz? — pytał go Władys.

— A Janek — odpowiedział pastuch; siadł na swojej sofie przy leżącym Władku, dobył z torebki chleb i ser, podając połowę jednego i drugiego Władysowi. Ale ten podziękował, bo jeść mu się już nie chciało, nieśmiało spytał tylko, czy gdzie blisko wody niema?...

— Jako niema? co to niema? u mnie wszystko jest! — z dumą odrzekł Janek i wstawszy natychmiast, wziął garnek stojący na deszczulce nad oknem, i za chwilę przyniósł w nim świeżej wody ze źródła zapewne, ale głową pokręcił markotnie, widząc jak Władys chciwie pił, aż wszystko wypił. Władys miał serce i umysł rozwinięty i umiał czytać w oczach tych ludzi, których kochał, więc też zaraz wyczytał niezadowolone w oczach Janka i rzekł:

— Pewno i tobie się pić chce, a ja tobie wszystką wodę wypilem, pokaż mi proszę, zkąd ją przynosisz, to ja ci zaraz przyniosę, bo pewno ty zmęczony jesteś, Janku mój najdroższy.

— Pleciesz — powiedział na to Janek — cały dzień leżałem i kartofle piekłem, a teraz tylko przez wieś takiego malca jak ty przeniosłem, nie mogłem się więc zmęczyć; ale to nie dobrze jest, że ty wodę bardzo chciwie pijesz.

Janek, mówiąc tak i patrząc na Władka, spostrzegł nawet że mu oczy niezwykajnie błyszczą i zaczynają; nie powiedział mu tego, ale już miarkował, że na dziecko przychodzi „złe”, to jest choroba. A wtém do drzwi lepianki otwartych szeroko, bo księżyc i gwiazdy za lampy pastuchowi służyć musiały, przystąpiła w księżycowém świetle jakaś postać kobieca.

— Jest tu u was sierota Janku? — spytała.

— A bo co? — odpowiedział na to Janek.

— A to, że mu trochę mleka świeżego przyniosła — i kobieta wyciągnęła rękę z garnkiem.

— Bóg zapłać.—Janek wziął mleko, przelał je

w swój garnuszek i dał Władysiowi. Kobieta znikła w wieczornej pomroce. Władys chętnie mleko wypił i zasnął. Wtedy Janek rękę mu przez chwilę na głowie potrzył, kiwnął nią potem tylko i drzwi chatki zaparłszy, spać się na sofie swojej położył. Nazajutrz Władys leżał trzęsąc się od zimna, choć go pastuch sukmanką swoją zimową, jedynym swym odzieniem, nakrył. Leżał tak Władek sam jeden w pachnącej lepiance, bo Janek z bydłem na pastwisko pójść musiał. Gdy na południe wrócił, zastał Władka rozpalonego gorączką, czerwonego na twarzy i nieprzytomnego prawie. Poznał odrazu, że to była pospolita febra zimnica, której się dostaje śpiąc na wilgotnej trawie tak, jak Władys przeszedł noc przespał.

Janek poszedł znów z bydłem. Wieczorem, gdy wrócił, Władysia opuściła już gorączka, więc przestraszony samotnością swoją siedział w progu lepianki blady, osłabiony, zanadto słaby żeby głód nawet uczuwać. Janek przyniósł mu gorących kartofli, na które dziecko nie miało ochoty; potem zjawiała się jedna i druga kobieta z mlekiem, a jeszcze później trzecia i czwarta po parze świeżych jaj przyniosła. Władys mleka się napił i jaja wypił, gdy Janek pobiegłszy z niemi na chwilę, przyniósł je w gorącym ukropie rozgrzane. Na trzeci dzień było Władysiowi niby trochę lepiej i już zaczynał naradzać się z Jankiem, jakby to dać o sobie znać rodzicom, gdy na czwarty dzień znów febra wróciła i znów zimno trzęsące, gorączka i osłabienie swoim porządkiem rozpoczęły się na nowo. I tak było co czwarty dzień; była to bowiem febra czwartaczka. Władys wymizerniał, wybladł, wynędzniał, a przytém rósł jak zwykle we febrze tak, że kto go dobrze nie znał, z trudnością by go poznał może. Że wójt mieszkał na drugiej wsi, daleko, a wiosieczka, do której Władys zaszedł, nie miała ani wójta ani dworu, ani nawet żyda szynkarza, leżała daleko od traktu, na uboczku, nikt mądrzejszy o przybłądę się nie zatroskał, a że był chory i prawie cały czas leżał lub siedział na progu lepianki Janka, zapomniano o nim nawet przy kłopotach i pracy, a tylko litościwe kobiety przynosiły mu mleko lub jaja. Czas biegł szybko, dni były coraz krótsze i nocy chłodniejsze, a febra tak bardzo męczyła Władysia, że już kobiety które mu mleko przynosiły, zaczynały kiwać głowami, bo myślały że go chyba na śmierć zamęczy, a nie wiedziały, co na to robić, bo na wsi o doktorze nikt nie słyszał. Kobiety miały na febrę swoje leki, to gorzkie ziółka, to piołun itp., ale wszystko to nic nie pomagało.

Aż którejś niedzieli, gdy Władysiowi było coraz gorzej, Janek, który tego dnia kogoś innego za siebie uprosił do paszenia bydła, ubrał się jak

mógł najprzystojniej i poszedł nic nie mówiąc. Bo już to taka była jego natura, że gadać o tém co zamyślał nie lubił.

Na drugi dzień w samo południe siedział wynędzniały Władek na progu lepianki, wyglądając Janka, który w tej porze z bydłem powracał, gdy nagle usłyszał turkot jakiś. Turkot na wsi nie był nowością, bo zwożono z pola zboże, kartofle, a wreszcie i drzewo z lasu. Ale to było dziwnem, że na wózku siedział ksiądz proboszcz i wózek jego zatrzymał się przed lepianką Janka, a proboszcz z niego wysiadać zaczął. Nadbiegł na to Janek i pocałował go w rękę. Proboszcz, ujrawszy Władysia prosto szedł ku niemu. Władys też, ujrawszy dawno niewidzianego ukształconego człowieka, uczył radość wielką, podniósł się z trudnością i ukłonił tak, jak był u rodziców nauczony, a potem rzucił się i rękę jego całować zaczął. Proboszcz patrzył na niego uważnie, potem usiadł na przyźbie, dziecko koło siebie posadził i wypytywać go zaczął.

Wypytawszy, zburczał Janka, że dawno do niego nie przyszedł dać znać o zbłąkanym i chorym chłopcu, bo to już parę miesięcy minęło i rodzice mogli za nim rozpaczać i z febrą należało radzić, bo dla delikatnego dziecka niewygoda zwiększała chorobę.

A potem wóz się zatoczył i proboszcz zabrał Władysia z sobą, choć Jankowi strasznie smutno było się z nim rozstawać, bo proboszcz obiecał odszukać jego rodziców i febrę zgubić. I Władysiowi także żal było pocziwego Janka, który się o niego troskał jak umiał najlepiej, zarzucił mu wychudłe ręce na szyję i obiecywał, że jak rodziców odnajdzie, to po niego wróci i zabierze z sobą i nigdy się nie rozstaną. Ale serce biło mu radością, bo myślał, że już za dni parę będzie z matką, z ojcem, z Ludką.

Tymczasem wózek z księdzem i Władkiem zatoczył się przed schyloną o łatanym dachu plebanią. Naprzeciwko nich wyszła krępa, niska kobieta, z białymi jak mleko włosami, ale bez zmarszczek na opalonej twarzy, a była to panna Katarzyna, starsza siostra proboszcza. Władys ukłonił jej się, jak umiał najlepiej, a ona spojrzawszy na niego, aż krzyknęła żałośnie:

— Cóż to za biedactwo!

Ksiądz proboszcz jej coś szepnął i wnet zajęła się chłopcem. Na zajęciu się jednak nie skończyło, trzeba było biednego Władysia ubrać od stóp do głowy, a choć proboszcz bogatym nie był i on i siostra zawsze znaleźli coś w domu dla ubogiego.

Panna Katarzyna miała w domu proszki od febrы i w braku doktora, który mieszkał bardzo daleko, zaczęła go leczyć, a proboszcz zaraz naza-

jutrz pojechał do najbliższej stacyi kolei. Wziął od Władka dokładny adres, tak wsi rodziców, jak mieszkania w Warszawie. Na stacyi kolei codziennie tyle przesuwa się ludzi, a od czasu przygody Władysia minęło już dwa miesiące, że nie łatwo przypomniano sobie, iż rzeczywiście poszukiwano tutaj zaginionego chłopczyka i adres pod którym dać o nim znać należało, zostawiono. Był to adres Woli...

Proboszcz natychmiast zatelegrafował, że Władys żyje i jest u niego. Telegram wysłano i odpowiedź na koszt pytającego nadeszła. Wola została przez licytacją sprzedana, a miejsce obecnego zamieszkania państwa Falskich było niewiadome.

Wtedy proboszcz zatelegrafował pod adresem warszawskim rodziców Władzia i znowu dowiedziano się, że osoby żądane pod wskazanym numerem nie mieszkają.

Wszystko to bardzo proboszcza zmartwiło. Nie było jednak co robić trzeba było powracać do domu, a co gorzej powiedzieć dziecku o straconej rodzinie. Proboszcz uczynił to bardzo ostrożnie, pocieszał Władysia, ale koniec końców nie wiedział co dalej robić i gdy Władys zmęczony łzami usnął, ksiądz naradzał się o tém z panną Katarzyną, bo panna Katarzyna zawsze na wszystko miała radę gotową.

— Ot — mówiła — najprostszą rzeczą byłoby dziecko z kim do Warszawy odesłać, a tam ono samo za pomocą tego kogoś i znajomych których pamięta, odszukałoby rodziców.

Rada ta była dobrą i praktyczną, wszakże proboszcz nie uważał téj rzeczy za tak łatwą jak się siostrze jego zdawało.

— Tak, będziemy się starali tego kogoś wyszukać; tylko niechaj siostrunia uważa, że trzeba by wprzód upewnić się, czy ci, których szukamy, znajdują się tam, gdzie poszukiwać ich chcemy; bo widoczném jest z wieści jakieśmy przez telegrafy otrzymali, że rodziców tego dziecka spotkała jakaś wielka majątkowa strata, témbardziej, że nawet i zajmowane mieszkanie miejskie opuścili, którego to zamiaru wcale nie mieli, jak dziecko zapewnia. Spotkało ich tedy coś, co pokrzyżowało zupełnie ich plany i jak gdyby los cały zwicznęło — rozważał proboszcz powoli.

A czy tém *czemś* nie jest właśnie tego dziecka zniknięcie? Czy nie za jego to śladem jakimś goniąc, porzucili oni i mieszkanie i cały bieg życia zmienili? i gdzie w takim razie ich szukać? oto jest pytanie nad jakim musimy się zastanowić, zwłaszcza, że jak siostrunia wie, środki nasze ograniczone są, a poszukiwanie musi kosztować pociągając za sobą. Trzeba się nam tedy zastano-

wić, jakby szukając od razu *dobrze* szukać, hę? prawda?

— A prawda; to niechaj się brat dobrodziej zastanowi i powie co robić, to ja zrobię — powiedziała panna Katarzyna, podnosząc się już od stołu w gotowości do zrobienia tego, co brat wymyśli; bo, że on wymyśli i że *dobrze* wymyśli, to dla niej wątpliwości nie ulegało; o rozumie brata niepospolite miała wyobrażenie.

— Hm, hm, gdyby można mieć gazety jakie, które od tego czasu wychodziły, jakie Kuryery zwłaszcza, to możeby się w nich na jakie ogłoszenie trafiło, które naprowadziłoby nas na ślad... — tak mówił proboszcz sam do siebie.

— Hm, hm, gazety, które trzymamy na wspólni, chodzą zazwyczaj póty z rąk do rąk po parafii, aż się w kawałki rozlecają; wszakże, gdyby to, o co nam idzie, opowiedzieć państwu Julianom i Wojciechom i Józefom i gdyby wszyscy u siebie resztki gazet pobierali, toby się może przypadkiem co w nich znalazło? — dumiała głośno panna Katarzyna w zamyśleniu po raz trzeci nakładając jądką na talerz Władkowi który się zbudził.

— A, a to, to trzeba tak zrobić — ksiądz na to — kto ma jakie gazety z całego lata, niechaj nam da; będziemy je wertować i słęczyć nad nimi; a tymczasem niepodobna, żeby też kto z parafian zamożniejszych do Warszawy się nie wybrał, Władka ze sobą nie wziął, i tam mu nie dopomógł, i rozumie się, przywiózłby go do nas napowrót, jeżeliby nieszczęściem nic się wyszukać nie dało. Może da Bóg, że się chłopiec do rodziców przecież dostanie; ale możeby i nie źle było, czasu drogiego nie tracąc pomyśleć i o tém, aby rodzice odzyskując chłopca pociechę z niego mieli, zamiast zgryzoty że zdziczał i najwłaściwszy czas ten w którym właśnie grunt pod naukę się daje, zmarnował?... — Tak mówił proboszcz i gdy tylko febra Władysia opuściła, dzięki lekom panny Katarzyny, zacny opiekun zaproponował mu, czyby się do książki nie wzięli. Jeszcze słów tych nie dokończył a już Władek u kolan mu klęczał, te kolana całując z wdzięczności...

Więc stanęło na tém, że panna Katarzyna ubrawszy się odświętnie, poszła w interesie o gazety do dworu. A proboszcz z Władkiem poszli do maleńkiej sypialni proboszcza gdzie w niewielkiej szafce sporo natłoczyło się książek przez lat czterdzieści które w téj parafii przeżył. Życie Władka ułożyło się teraz zupełnie inaczej, jak dotąd; a porządnie i pracowicie, jak nigdy. Bo Władek w przeciwnościach losu swojego w niezmiernie krótkim czasie zmienił się do niewierzenia; tak, że niepodobny teraz był prawie, pod względem

amysłowym zwłaszcza, do pustego dziecka, jakim był często u rodziców.

Proboszcz umiał niedużo ale dobrze. Mianowicie w łacinie i w greczyźnie był biegły, a i w greckiej i w rzymskiej historii także. A potem proboszcz pobożny był, zwyczajnie jak proboszcz, ale wesoły, jak mały student.

Więc Władek przedewszystkiem przy takim nauczycielu wyuczył się służyć do Mszy; i różnych pieśni, które lud śpiewa w kościele, a które albo z Pisma Świętego, albo z własnego serca poeci ułożyli, jak pieśń „Kto się w opiekę poda Panu swemu”; — „Kiedy ranne wstają zorze” itp.

W głowach łódeczka księdza stała dubeltówka, i pistolet koło niej wisiał, co i jedno i drugie okrutnie Władka dziwiło dla tego, że było u księdza. Dopiero raz około Gromnicy, w trzaskający mróz, gdy wilk na kobietę z dzieckiem idącą napadł, a ksiądz z dubeltówki w oczach wszystkich ludzi strzelił i wilka trupem położył, dopiero Władek pojął, że i dla księdza może nie być nieprzyzwoitością celnie strzelać. A celnie ksiądz strzelał i Władka też pilnie tego uczył: ale najprzód z łuku, bo się bał jeszcze dawać mu palnej broni do ręki, chociaż chłopiec wyrastał, a przytém i męźniał, jakby nie był owym delikatnym Władkiem biedaczkiem. Do takiego zmężnienia przyczyniał się wielce ruch, o który ksiądz dbał bardzo dla Władka. Nie bywało go jednakże za dużo, bo obowiązki czas zajmowały przedewszystkiem, a zaraz po nich książki...

Często przy łojowej świeczce, proboszcz przed błyszczącymi Władka oczyma, starą podartą księgę w lewej ręce trzymając, prawą, Grecyę wodą na stole malował: palec w szklance maczając i po stole nim kreśląc tak, tak, i tak, mówił:

— Ta woda to jest morze, rozumiesz? tam Adryatyk, tu Jońskie, to Czarne, tu Archipelag, a tu Hellespont; rozumiesz? to morze?

— Rozumiem — odpowiedział Władek; ksiądz palcem tak kreśląc na stole zakreślił niby tępy trójkąt, a potem leciuchno mokrym palcem stołu dotykając, górze tego trójkąta, gdzie wypadła jego podstawa, odciał takimi kropkami trójkąt ten od reszty Europy, pozostającej u góry; od morza Jońskiego do Archipelagu; ale tuż koło Archipelagu pozostawił miejsca kawalek, koło którego usypał stos tabaki: — To jest góra *Oeta* — mówił ksiądz; — ten trójkąt to Grecya, te odcinające ją od reszty ziemi kropki, to góry nieprzebyte; rozumiesz?

— Rozumiem — rzekł Władek. (*D. c. n.*)

Zadanie konikowe (Staś B.).

dwor	szcze	drze	stem	u	cko	pod	żdy
wem	czy	ku	je	tem	z ka	ko	dzie
ser	taj	roz	taj	mój	łen	kwia	tek
ło	dom	cem	wspo	tkiem	Wi	łem	cha
wi	mnie	roz	ku	pe	dre	szcza	wu
ma	ży	ny	mią	gi	ja	hy	cha
i	tek	pta	łem	wnia	bie	ście	tych
stem	wia	pa	dno	sząt	świę	śtu	skar

Krzyż z podstawą (Z. B.).

1	
9	13
14	16
17	21
22	28

Od 1 — 8 imię sławnego monarchy, od 9 — 13 jezioro w Polsce, od 14 — 16 roślina pożyteczna w przemyśle, od 17 — 21 imię męzkie, od 22 — 28 miejsce kąpielowe.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Zadania głoskowe.

Głośnie po całym mieście nowiny,
Przybyli wielcy panowie,
Po ich odzieży poznać i mowie,
Że jadą z obcej krainy.

(Pierwsza strofa „Wiana królowny” Adama Goryńskiego).

Homonimów.

Żóraw, ptak, Żóraw, miecz Bolesława Krzywoustego, żóraw do wyciągania wody.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Anusi J. w Białej. Radzi jesteśmy że Listy pensyonarki tak zaciekawiają iż budzą tęsknotę za Wieczorami, ale więcej cieszy nas jeszcze, że prenumeratorka nasza zamierza postępować na pensyi według rad tam udzielonych, gdyż pewni jesteśmy że wten sposób oszczędzi sobie wiele przykrości i odniesie korzyść z pobieranych nauk. Przystane 45 kopoddane zostały małej bardzo biednej dziewczynce.

Janinie Żu..... w Charkowcach. „Młodzi Żeglarze“ już zostali wysłani.